

- Takim partyzantem, jak ja byłam, to nikt nie był. Tyle bohaterstwa, ile mam, to nie wiem, czy Bóg mi dał, czy taka jestem - mówi Leokadia Kawalec z Dajtrowskich. - Ważne, że przeżyliśmy w jednym miejscu, raz głodni, raz najedzeni.

Monika Skarbek

Pan Andrzej Dajtrowski był człowiekiem spokojnym, łagodnym, ale bojaźliwym. Jego żona Anna natomiast była kobietą odważną, niezależną, zawsze chętną do pomocy. Mieli dwie córki; Leokadię i młodszą od niej o 11 lat, Marię. Dzisiaj z całej rodziny żyje jeszcze Leokadia Kawalec. Starsza, schorowana, z trudem porusza się po mieszkaniu. To "pamiątka" z wojny. Ze łzami w oczach wspomina: - Podziwiam siebie i swoją rodzinę. Wtedy chciałam tym Żydom pomóc; dzisiaj nie zrobiłabym tego po raz drugi. To było ciężkie przeżycie. Zapłata były ohydne wyzviska i utrata zdrowia.

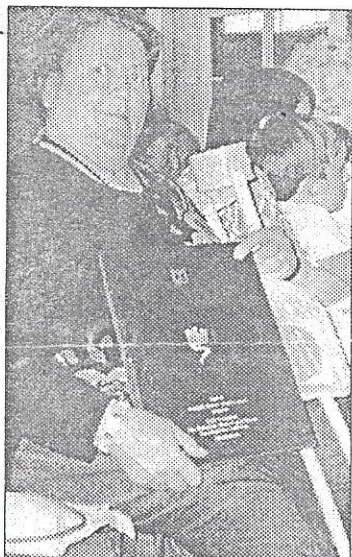
Skrytka na metr szeroka

Niepozorna stara chałupa Dajtrowskich stała na uboczu Rytwian (województwo tarnobrzesckie). Dawno nie ma już po niej śladu. Jest tylko miejsce porośnięte zielskiem i pamięć koszmarnych dni. Właśnie tam w czasie wojny Dajtrowscy ukrywali dwie rodziny żydowskie: Hauerów i Wolbromskich z pobliskiego Staszowa.

Hauerów znali od lat. Anna Dajtrowska i Morris Hauer chodzili do tej samej szkoły, do jednej klasy. Dlatego właśnie, kiedy nasiliły się prze-

Przerwane milczenie

W czasie wojny Dajtrowscy ukrywali dwie żydowskie rodziny. Pół wieku za to cierpieli. Teraz doczekali się wdzięczności.



Leokadia Kawalec z dyplomem i medalem "Sprawiedliwy wśród narodów świata" w lipcu 1992 r.

W tym domu rodzina Dajtrowskich ukrywała ośmioro Żydów.



Od lewej: Leokadia, matka - Anna, ojciec - Andrzej i Maria - młodszą siostrą Leokadii.

śladowania Żydów, Dajtrowscy bez wahania zaproponowali im pomoc. - Możecie zostać kilka dni, dopóki nie znajdziecie lepszego ukrycia - powiedział Andrzej. Morris zrobił wymyślną kryjówkę w stajence przy domu. Wchodziło się do niej przez otwór w podłodze poddasza. W podwójnej ścianie na metr szerokiej przetrwała ich cała ósemka. Kiedy tylko mogli, wychodzili ze swojej ciasnej skrytki. Ale w tym czasie Morris i Simon na zmianę musieli obserwować drogę przez okienko na poddaszu. Dzięki temu udało im się w porę schować przed granato-

wymi policjantami. Następnym razem przez swoją nieuwagę spotrzelili ich za późno. Sytuację uratowała Leokadia.

Nic nie przynieśli

Do "nowego" domu Hauerowie przychodzili po kryjomu. - Idziemy do leśniczówki, do Zagród - mówili sąsiadom i znajomym. Pojedynczo przychodzili do Rytwian. Mieli zostać tylko 2-3 tygodnie, zostali 2,5 roku. - Niczego ze sobą nie przynieśli, ani dolarów, ani złota - spokojnie stwierdza Leokadia Kawalec. - Tylko samych siebie i czwórkę dzieci: Saul

Hauer miał wtedy dwanaście lat, Miriam dziesięć, Jankiel - był ośmiolatkiem, a mała Esther miała zaledwie sześć lat.

Po ostatnim wysiedleniu Żydów ze Staszowa, 7 listopada 1943 r., Morris Hauer przyprowadził jeszcze młode małżeństwo: Simona i Hindę Wolbromskich. Ani jeden, ani drugi nie mieli żadnych środków do życia, więc byli na utrzymaniu Dajtrowskich. W sumie Andrzej Dajtrowski musiał wyżywić 12 osób. Pomagała mu w tym starsza córka - Leokadia. Wysoka, przystojna dwudziestolatka, zwracała na siebie

uwagę niejednego mężczyzny. Czasami to pomagało, ale częściej przeskadzało. Pracowała wtedy w suszarni warzyw i w gorzelni w Rytwianach. - Niekiedy z suszarni udało się ukraść garstkę warzyw - wspomina. - Z rampy kolejowej, jak się dało, brałam kilka buraków. Robiliśmy z nich bimber, ale nie do picia, tylko do mycia i odkażania ukrywających się Żydów. Może dlatego przez cały ten czas nikt z nich nie chorował?

Żyło im się ciężko. - Co z tego, że mieliśmy wystarczająco dużo kartek żywnościowych, skoro nie było pieniędzy na wykupienie tego wszyst-